

Pamiętajmy o Ralphie Modjeskim

W gościnnej Bibliotece Publicznej w Niles odbyło się spotkanie, zorganizowane przez Chicagowski Oddział Fundacji Kościuszkowskiej (KF), poświęcone omówieniu zasług Ralph Modjeskiego (Rudolf Modrzejewski) – konstruktora przeszło czterdziestu mostów zlokalizowanych w Stanach Zjednoczonych. Rolę prelegenta pełnił ekspert specjalizujący się w tym temacie – dr Jan S. Płachta, autor książki zatytułowanej „Artysta betonu i stali. Rudolf Modrzejewski” (wyd. 2016 r.) i jej angielskojęzycznej wersji „Artist in Concrete and Steel. Ralph Modjeski” (wyd. 2018 r.).

Spotkanie, które odbyło się w sobotę, 27 kwietnia bieżącego roku rozpoczęła Maria Zakrzewska, wiceprezes Oddziału Chicagowskiego KF. Przedstawiła ona inżyniera Jana Płachtę, który studiował w Wyższej Szkole Technicznej w Wiedniu w Illinois Institute of Technology w Chicago, a tytuł doktora uzyskał na Politechnice w Krakowie (1982 r.). Jego kariera zawodowa związana była z różnorodnymi firmami inżynierskimi w USA, Kanadzie, a nawet w Arabii Saudyjskiej. Zanim przeszedł na emeryturę, Jan Płachta zatrudniony był przez 30 lat w Chicagowskim Dystrykcie Armii Amerykańskiej. Był specjalistą od przeciwpowodziowych umocnień i rezerwuarów zbierających wodę w czasie powodzi, m.in. budowanych na jeziorze Michigan.

Jan Płachta przedstawił najpierw szczególnie ważne fakty z życia Modjeskiego (1861-1940). Jak wiadomo, był on synem Heleny Modrzejewskiej, wybitnej aktorki polskiej. Gdy emigrowała ona do USA zabrała ze sobą 15-letniego Rudolfa. Chłopiec od wczesnych swych lat przejawiał zdolności muzyczne i bardzo lubił grać na fortepianie. Szczególnie kochał muzykę Fryderyka Chopina, ale grał także utwory Bacha, Mozarta, Beethovena, Webera i Schumana. Znał osobliście i podziwiał Ignacego Paderewskiego. W swych wypowiedziach Ralph, który na emigracji zaczął używać skróconego imienia i nazwiska, podkreślał, że uprawianie muzyki uczy dyscypliny intelektualnej i że muzyka może być w tym względzie porównywalna jedynie do matematyki. I muzyka i nauki ścisłe oraz inżynieria fascynowały go tak, że nawet wahał się jaką drogę życiową wybrać. W końcu zdecydował się zdawać egzamin wstępny do Ecole des Ponts et Chaussées (Szkola budowy mostów i ulic) w Paryżu, która była wówczas najlepszym na świecie technicznym uniwersytetem. Udało mu się do niej dostać dopiero za drugim podejściem. Pomógł mu upór i konsekwencja w dążeniu do celu. Ukończył tę uczelnię w 1825 roku jako najlepszy student na swoim roku. Po powrocie do USA, Modjeski poznał Georga S.

Morisona, który uważany był za największy autorytet wśród amerykańskich budowniczych mostów. Morison, który miał swą własną firmę budowlaną w Buffalo, w stanie Nowy Jork, odegrał ważną rolę w procesie budowy Kanału Panamskiego. Modjeski pracował z Morisonem do 1893 roku, ale ponieważ był bardzo ambitny, w tymże 1893 roku założył swoje własne biuro konstrukcyjne w Monadnock Building, w Chicago.

Ralph Modjeski zaprojektował i nadzorował budowę kilkadziesiąt mostów w różnych stanach Ameryki Północnej. Kosztowały one ponad 150 milionów dolarów. Otrzymał za swą pracę wiele nagród, medali i odznaczeń, wśród których były m.in. honorowe doktoraty przyznane mu przez takie uczelnie jak: University of Illinois at Urbana Champaign (1911), Pennsylvania Military College at Chester (1927) oraz Politechnika Lwowska (1931).

Jan Płachta w swej książce przedstawił opinie ekspertów, którzy za przestrzeni lat wypowiadali się o pracy i osiągnięciach Modjeskiego. Okazuje się, że Amerykanie doceniają go bardziej niż Polacy. Jak czytamy w książce „Artysta betonu i stali. Raf Modjeski”, Bydgoszcz był pierwszym polskim miastem, które uhonorowało Modjeskiego. W 2008 roku jeden z mostów na Wiśle otrzymał nazwę Most Fordeński im. Rudolfa Modrzejewskiego.

Jak już wspominałam, Modjeski skonstruował przeszło 40 mostów. Wszystkie one są wymienione na s. 38-39 w angielskojęzycznej książce Jana Płachty. Autor książki opisał każdy z tych mostów, umiejscowił go na mapie Ameryki Północnej i zamieścił fotografię każdego z nich. Większość tych fotografii została zrobiona przez pana Jana. Część z nich to fotografie archiwalne, które dziś, podobnie jak rysunki konstrukcyjne, znalazły swe miejsce w archiwach państwowych oraz w bibliotekach miejskich i uniwersyteckich. Niektóre ze zdjęć przedstawiają różne fazy budowy tych mostów.

Wśród mostów zbudowanych przez Modjeskiego i opisanych przez Jana Płachtę moją uwagę zwróciły zwłaszcza Movable Bridges w Wac-



Uczestnicy spotkania zorganizowanego przez Chicagowski Oddział Fundacji Kościuszkowskiej

ker Drive w downtown Chicago. Myślę, że informacje na ten temat będą interesujące nie tylko dla miłośników naszego miasta i jego historii, ale także dla tych młodych osób, którzy zamierzają zostać w przyszłości budowniczymi mostów. Z zainteresowaniem czytałam także o przepięknym moście w San Francisco, w Kalifornii.

chęcał do wzięcia udziału w uroczystościach w Nenana. W wydaniu z 28-30 lipca w „Dzienniku Zwiazkowym” Jan Płachta zdał szczegółowe sprawozdanie z tego wydarzenia. Do Nenana pojechała delegacja z Chicago, w skład której wchodził między innymi: Andrzej Nowak, prezes Rady Inżynierów Polskich, Jan Płach-

ter firmę Modjeski & Masters, Markiem Gotowskim i Andrzejem Nowakiem odsłoniła pamiątkową płytę na cześć budowniczego mostu, Ralph Modjeskiego.

W czasie sobotniego spotkania w bibliotece w Niles, o wydarzeniu tym przypominało nagranie video, które zaprezentował p. Józef Krutul.

Wśród gości na sobotnim spotkaniu byli wybitni inżynierowie, członkowie Stowarzyszenia Polsko-Amerykańskich Inżynierów, m.in. Andrzej Badziak, zajmujący się elektroniką, jego żona dr Elżbieta Berak, obecnie konsultantka w Abbvie International Corporation, a także naukowcy z University of Illinois at Urbana Champaign: prof. Iwona Jasiuk pracująca w Department of Mechanical Science & Engineering oraz prof. Martin Ostoja-Starzewski z tego samego departamentu, autor 240 artykułów i czterech książek, członek rad redakcyjnych kilku czasopism naukowych i redaktor naczelnego czasopisma „Journal of Thermal Stresses”. Profesor Ostoja-Starzewski pracował na Uniwersytecie Stanford i Uniwersytecie Cambridge, jest członkiem wielu towarzystw naukowych oraz członkiem Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk. Obecny był też na naszym spotkaniu Andrzej Zapalski reprezentujący The Chicago Society.

Wracając do książki Jana Płachty, chciałabym podkreślić, że jest ona fascynująca. Ja, polonistka i humanistka, nie spodziewałam się, że tego typu publikacja może mieć tak zainteresować. A jednak czytałam ją z zacie-

kawieniem. Mosty musiały być wytrzymałe, bezpieczne dla ludzi i pojazdów, ale także estetyczne. Zdecydowana większość z nich przetrwała do dzisiaj i nadal spełnia funkcję, do jakiej była dostosowana. Jeden z mostów został zbudowany nad przepaścią (the Crooked River Bridge w stanie Oregon) i skłania do wielu refleksji, np. jak udało się tyle lat temu taki obiekt zbudować. Z książki tej można się także dużo dowiedzieć nie tylko o mostach, ale wzbogacić swą wiedzę o tym jak wyglądało życie w Ameryce w XIX i w pierwszej połowie XX wieku.

Moim zdaniem, książka Jana Płachty powinna się znaleźć w każdym polonijnym domu, zwłaszcza tam, gdzie są dzieci i młodzież. Pokazuje ona bowiem sylwetkę Polaka, który mimo że przybył do USA już jako młodzienc, miał w sobie tyle siły, uporu i wytrwałości, by się wykształcić i by włożyć ogromny wkład w rozwój ekonomiczny swej nowej ojczyzny. Przyczynił się do transformacji Ameryki i do jej unowocześnie- nia. Był świetnym organizatorem, biznesmenem, a przy tym człowiekiem renesansowym – wszechstronnym, miłującym nie tylko technikę i technologię, ale także miłującym muzykę i poświęcającym się tej pasji z zapałem.

Także autor książki o Ralphie Modjeskim, Jan Płachta, zasługuje na szacunek i uznanie za opisanie działalności tak zasłużonego Polaka. Jego książka liczy 445 stron, zawiera indeks, ogromną ilość ilustracji i bibliografię składającą się ze 148 pozycji. Upór, poświęcenie wielu lat na poszukiwanie materiałów do książki są godne naśladowania, bo powinniśmy poznać wybitnych Polaków mieszkających na ziemi amerykańskiej i powinniśmy być dumni, że tacy ludzie należą do tej samej grupy etnicznej, do której i my należymy.

Dobrze byłoby, gdyby dyrektorzy szkół polonijnych rozważyli zakupienie tej książki, jako nagrody dla najlepszych uczniów klas licealnych, na zakończenie roku szkolnego. Książka jest dostępna w księgarni Polonia Bookstore.

Tekst i zdjęcia: **Maria Zakrzewska**

Dokończenie ze str. 5

Ron Carter: Gra z Milesem Davisem jak praca w laboratorium

“Pracowałem w klubie Half Note w Nowym Jorku w zespole Arta Farmera, z Jimem Hallem na gitarze i Walterem Perkinsem na perkusji. Poznałem Arta, gdy pracowałem jako freelancer, muzyk sesyjny. Zaprzyjaźniliśmy się. Kończymy pierwszy set i podchodzi do mnie Miles. Poznaliśmy się już wcześniej, choć tylko powierzchownie. Zaprowadził mnie w ką, koło szafy grającej. Mówi, że składa nowy zespół; Chambers odchodzi do grupy Jimmy’ego Cobba, a on ma nagrane koncerty i pyta czy mógłbym dołączyć do niego na te występy. Ja na to: panie Davis, chciałbym, ale jestem zobowiązany wobec pana Farmera. Jeśli on się zgodzi, oczywiście. Miles i Art dogadali się, dostałem pozwolenie. Dzięki temu Davis wiedział, że jestem słowny i lojalny, dotrzymuję umów. Z Artem Farmerem przyjaźniłem się i współpracowałem aż do jego śmierci, a z Milesem pracowałem przez wiele lat” – wspomina. Jako basista “drugiego” kwintetu nagrał takie albu-

my jak “My Funny Valentine”, “E.S.P.”, “Miles Smiles”, “Filles de Kilimanjaro” czy “Nefertiti”, dziś należące do jazzowego kanonu. Grupa słynęła także z koncertów, podczas których muzycy nie odgrywali tego, co nagrali na płycie, nie realizowali wcześniej ustalonego scenariusza. Eksperymentowali i poszerzali granice nowoczesnego jazzu. “To było jak praca w laboratorium. Miles był naszym szefem, naczelnym chemikiem, mistrzem. Co wieczór przychodził z różnymi miksturami, pomysłami i sprawdzał, co się wydarzy gdy je zmieszymy. Nigdy nie wiedział jak się potoczą, jaki będzie efekt tych eksperymentów. Nie wiedzieliśmy, co zagramy, jak zabrzmieni naszemu muzyka akurat tego wieczoru. Ale nie wydaje mi się, by którykolwiek z nas miał wtedy świadomość jak wielkie znaczenie, jaki wpływ to, co robimy będzie miało na muzykę” – opowiada Carter.

Mówię, że jego kolega z zespołu Davisa, saksofonista Wayne Shorter opowiadał

mi o dawnej rozmowie z trębaczem. Spytał go retorycznie: “Wayne, nie masz już dość grania muzyki, która brzmi jak muzyka?”. Carter śmieje się: “Świetnie ujęte. Z początku to Wayne był tym piszącym, komponującym, pracował najwięcej. Później także ja, Tony i Herbie dorzucaliśmy własne kompozycje. Miles prosił nas o to, zachęcał nas do komponowania. Rozumiał, że ma na podreździu czterech gości, których wynajął do tworzenia muzyki z nim, dla niego. Czasem wbrew niemu, ale to też doceniał. Lubił wyzwania”.

Carter opuścił zespół Davisa w 1968 r.: z powodu obciążeń, związanych z trasami koncertowymi, byciem w drodze. Wkrótce został obasypany propozycjami pracy. Przychoodziły nie tylko od muzyków jazzowych, ale także gwiazd muzyki popularnej. Sesi nagraniowych, współpracowników i tytułów płyt, na których zagrał jest tak wiele, że sam nie może ich spamiętać. Kiedy mówię, że wciąż odkrywam, że to właśnie on gra na kolej-

nych spośród moich ulubionych płyt, Ron Carter śmieje się i mówi, że ma tak samo. Nazwisko Paula Simona w ogóle wypadło mu z głowy. “Ten gość od Arta Garfunkela...” – zawieszę głos, szukając w pamięci nazwiska artysty, któremu pomagał w nagraniu pierwszego solowego albumu po rozpadzie duetu Simon and Garfunkel. Było to w 1972 r., od tamtej pory brał udział w tak wielu innych sesjach.

“Zagram z każdym, przy którym poczuję się, jakbym znów był w szkole. Czy to będzie artysta grający folk, rock, soul czy hip-hop jest dla mnie drugorzędna sprawą. Staram się im pomóc na ich drodze, nawet jeśli obrali nie-jazzową ścieżkę – tłumaczy. Nie stara się zmienić brzmienia i stylu, gdy przychodzi do pracy poza jazzową formą. “Interesowało mnie tylko to, bym znalazł odpowiedni ton, który da im to, czego poszukiwali. Zawsze mnie dziwiło, że w ogóle wiedzą kim jestem” – mówi o swych zleceniodawcach. “Ze Paul

Simon zadzwonił właśnie do mnie. Przecież w Nowym Jorku były setki, tysiące basistów! Chciałem go spytać: skąd o mnie wiesz? Przecież jestem be-bopowcem, od jazzmanów, od Sama Riversa, Archiego Sheppa i Milesa. Ktoś, kto z nim pracował wiedział kim jestem i uważał, że potrzebują do nagrania tej płyty właśnie mnie. Zawsze byłem wdzięczny za ich wiarę w moje umiejętności i robiłem co mogłem, żeby później za mną zatęsknili”.

W książce A. B. Spellmana “Four Lives in the Bebop Business”, perkusista Sunny Murray wspomina wieczór, gdy na scenę klubu w którym występował pianista Cecil Taylor wkroczył nikomu nieznanemu mężczyzna – genialny “naturałszczyk”, wpadający do klubów z nowojorskiej ulicy – wziął do rąk kontrabas i dał się ponieść muzyce, choć ewidentnie nie potrafił grać. Przyjemniej nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Czy też, skoro wydobywał z niego dźwięki i posłużył się nim, by wyrazić siebie, może jednak potrafił?

“Najwybitniejsi spośród free-jazzowych kontrabastów doskonale opanowali warsztat, skalę, arpeggia, wszelkie możliwe standardy. Znali tradycję, byli muzykami kompletnymi. Nawet jeśli ją odrzucali to, co wówczas uchodziło za normalne. Czasami spotykałem się z tezą, że szkolna, akademicka wiedza szkodzi naturalności ekspresji. Zupełnie się z tym nie zgadzam. Uważam ponadto, że umiejętności odnalezienia się w różnych stylach pozwala grać z różnymi ludźmi w różnych tradycjach, stwarza szansę, by czegoś się nauczyć” – podsumowuje Carter.

Jaką radę daje swoim studentom? “Znajdź dobrego nauczyciela. Muzyka to zbyt szeroki świat, by zgłębiać go na własną rękę i nie zagubić się” – stwierdza – “Posłuchaj, jak grają, jak brzmią inni, jak się zachowują na scenie, jakimi słowami zwracają się do publiczności. Rozmawiaj z nimi. I naucz się czytać”.

Piotr Jagielski (PAP)